

Serczyk, Jerzy

Moje spotkania z Leonidem Żytkowiczem

Czasy Nowożytne 9(10), 47-49

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jerzy Serczyk
(Toruń)

Moje spotkania z Leonidem Żytkowiczem

Po raz pierwszy zetknąłem się z ówczesnym doktorem Leonidem Żytkowiczem jako początkujący student I roku historii na toruńskim Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w październiku 1946 roku. Studia odbywały się wtedy, w pierwszym roku powojennym, mimo całkowicie zmienionych okoliczności zewnętrznych, jeszcze całkowicie według ordynacji studiów obowiązującej w Drugiej Rzeczypospolitej. W ciągu pierwszego roku studiów należało przejść przez proseminarium historyczne, którego zaliczenie przez *colloquium* dawało wstęp na seminarium u profesora, które student wybierał sobie na początku II roku studiów i na którym, jeżeli został przyjęty przez profesora, pozostawał przez trzy lata, w czasie których pisał referaty, prace seminaryjne i na koniec pracę magisterską.

W czasie, o którym opowiadam, proseminarium historyczne prowadzili: w pierwszym (zimowym) semestrze dr Leonid Żytkowicz, w drugim (letnim) semestrze prof. Karol Górski. Dr Żytkowicz wprowadzał w tajniki podstawowej historycznej wiedzy warsztatowej, w zasadzie według koncepcji ustanowionej w latach dwudziestych przez Marcellego Handelsmana w jego „Historyce” i dość powszechnie stosowanej na uniwersyteckich studiach historycznych do 1939 roku oraz w pierwszych czterech latach po II wojnie światowej. Karol Górski zajmował się bardziej teoretyczną stroną pracy historyka: interpretacją, konstrukcją, wartościowaniem, prezentując także własne propozycje z tej dziedziny. Dr Żytkowicz był nauczycielem akademickim bardzo wymagającym i oczekującym od studentów akurataności w pracy. Referaty należało przedkładać ściśle trzymając się wyznaczonych terminów, ze skompletowaną bibliografią, a w czasie proseminaryjnych dyskusji wypowiadać się w sposób uporządkowany i dorzeczny. Mimo tych rygorów cotygodniowe spotkania proseminaryjne odbywane w ówczesnej sali VII Collegium Maius (narożna sala na I piętrze we wschodniej części gmachu od strony Wałów) były ciekawymi pod względem intelektualnym przeżyciami, na których nie tylko przyswajało się obligatoryjną erudycję, lecz także uczyło się kultury dyskusji nie tylko naukowej, lecz „dyskusji w ogóle” – sztuki, która pod koniec XX wieku wydaje się przeżywać kryzys. W tamtych latach, kiedy poza salami wykładowymi odbywało się stopniowe przekształcanie rzeczywistości wedle wzorów sowieckich, były te proseminaria (jak zresztą i liczne inne zajęcia

uniwersyteckie) enklawą pozwalającą na utrzymanie nadziei, że nauka i nauczanie akademickie pozostaną dziedzinami, których nie dotkną lub dotkną w mniejszym stopniu, niż innych sfer życia społecznego, wymuszone przeobrażenia. Końcowe *colloquium* zdałem wbrew obawom z wynikiem bardzo dobrym – ale trzeba było przedtem popracować, nie mogąc liczyć na żaden „szczęśliwy los”.

Niebawem, jeszcze przed ukończeniem studiów, kiedy jako student III roku zostałem zatrudniony w Instytucie Historycznym UMK jako „zastępca asystenta”, zetknąłem się z doktorem Leonidem Żytkowiczem, występującym tym razem w odmiennej roli. Ówczesni asystenci wykonywali, wobec braku w Instytucie jakichkolwiek pracowników biurowych i bibliotekarzy, wszystkie prace administracyjne i biblioteczne. Te ostatnie zajmowały najwięcej czasu i energii, ponieważ trzeba było „od zera” skatalogować księgozbiór powstający wtedy dopiero ze zbiorów poniemieckich, bibliotek podworskich i darowizn różnych instytucji, wspomagających nowo powstałą uczelnię. Pracowało nad tym kilkoro młodych kandydatów na pracowników nauki, a organizatorem i swojego rodzaju nadzorcą całej tej wielkiej roboty był z polecenia ówczesnego dyrektora Instytutu, profesora Bronisława Włodarskiego, właśnie dr Żytkowicz. I w tej dziedzinie wykazywał on podobne cechy swojej osobowości, jak w pracy dydaktycznej. Dbał o coś, co można by nazwać „doskonałym porządkiem bibliotecznym”, poczynając od wyglądu karty katalogowej i jej informacyjnej zawartości, a skończywszy na szczegółach takich, jak ustawienie książek na regałach w sposób taki, aby maksymalnie wykorzystać przestrzeń będącą do dyspozycji.

Nie znaczyło to jednak, że ograniczał on inicjatywę i pomysłowość swoich podwładnych, przeciwnie – przy wysokich wymaganiach, jakie stawiał on pod naszym adresem, oczekiwał od nas poczucia odpowiedzialności za to, co robimy i powierzał nam nieraz zadania bardzo poważne, które wykonywaliśmy, jak mi się wydaje, całkiem nieźle, świadomi tego, że traktuje się nas jako ludzi pełnowartościowych. Jako przykład mogę przytoczyć powierzenie z początkiem roku 1950 świeżo upieczonemu doktorowi (a może w tym momencie jeszcze doktorantowi – nie pamiętam tego dokładnie) Tadeuszowi Grudzińskiemu i magistrantowi Jerzemu Serczykowi misji uporządkowania, skontrolowania i przejęcia nabytego przez UMK księgozbioru po zmarłym w 1949 roku krakowskim historyku Władysławie Semkowiczu. Spędziliśmy wówczas w Krakowie w lutym 1950 roku szereg bardzo pracowitych dni, biorąc do ręki każdy tom, każdy zeszyt czasopisma i każdą odbitkę w wielotysięcznym księgozborze zmarłego uczonego, porównując to ze spisem przygotowanym przez spadkobierczynię i z tworzoną *ad hoc* kartoteką. Pomijając wszystko inne, obydwaj przy okazji poznaliśmy w najbardziej bezpośrednim kontakcie prawie całą produkcję wydawniczą polskiej (i nie tylko polskiej) mediewistyki. Myślę, że dość sporo z tego w nas zostało w postaci wiedzy bibliograficznej, która przydaje się do dzisiaj.

Trzecia grupa spotkań moich z Leonidem Żytkowiczem związana jest z ostatnim okresem jego życia – i z Ciechocinkiem. Profesor Żytkowicz od lat chy-

ba siedemdziesiątych, a może i wcześniejszych miał zwyczaj w maju wyjeżdżać samotnie na odpoczynek do Ciechocinka, gdzie wynajmował pokój w dwurodzinnym domku na cichej i spokojnej wtedy ulicy Traugutta, którego właścicielką była mgr Maria Stefańska, niegdysiejsza absolwentka historii (jeśli dobrze pamiętam, Uniwersytetu Poznańskiego jeszcze sprzed wojny). Odwiedziliśmy go tam kiedyś pod koniec lat siedemdziesiątych razem z Andrzejem Tomczakiem. Ponieważ był to okres, kiedy moja żona Barbara zaczęła już podupadać na zdrowiu, a i mnie lekarze odradzali jeżdżenie w góry, pomyślałem sobie, że Ciechocinek może być dla nas dobrym miejscem na spędzanie wakacji. Prof. Żytkowicz zaprotegował mnie u swojej ciechocińskiej gospodyni i poczynając od 1979 roku zaczęliśmy co roku jeździć w sierpniu do Ciechocinka. W sumie Ciechocinek stał się dla nas ostatnim w naszym wspólnym życiu wakacyjnym *pied à terre* przez siedem kolejnych lat, aż do 1985 roku, kiedy pojechalśmy tam po raz ostatni. Tam przeżyliśmy gorący sierpień 1980 roku oraz jedyne i niepowtarzalne „solidarnościowe” lato roku 1981. Wspomnę nawiasem przy tej okazji, że trudności zaopatrzeniowe, jakie wtedy ogarnęły cały kraj, w Ciechocinku były jakoś mniej dotkliwe. To, oraz wprowadzone wówczas skąpe racjonowanie benzyny, spowodowało, że w naszej sytuacji ów cokolwiek staroświecki i spokojny *kurort* był rozwiązaniem najlepszym z możliwych. Byliśmy też bardzo wdzięczni profesorowi Żytkowiczowi za otwarcie przed nami tej możliwości. Mieliśmy też okazje niejednokrotnie dać wyraz tej wdzięczności, gdyż profesor zaglądał do Ciechocinka także i w lecie, tyle, że wtedy już nie na dłuższy pobyt, ale na kilkugodzinne wytchnienie. Zwykle nasza gospodyni, pani Stefańska, podejmowała go podwieczorkiem, a potem następował spacer po parku, który kończył się na stacji kolejowej lub na znajdującym się tuż przy niej przystanku autobusowym. Zdarzyło mi się niejeden raz towarzyszyć profesorowi w czasie tych spacerów (zachowało się nawet zdjęcie, zrobione na jednym z ostatnich, w roku 1985). Nie umiem już po latach odtworzyć sobie dokładnej treści rozmów, jakie w czasie nich prowadziliśmy, ale to wiem na pewno, że tematów nam nie brakowało. Wydarzenia dziejące się wtedy, najpierw okres zwany dzisiaj „pierwszą Solidarnością”, potem stan wojenny i wszystko, co się z tym wiązało, zajmowało w tych rozmowach na spacerach sporo miejsca. Profesor odnosił się do przemian, zarysowujących się w Polsce, życzliwie, ale nie w sposób bezkrytycznie entuzjastyczny przed grudniem 1981 roku. Z kolei nie oceniał wyłącznie negatywnie tego, co stało się potem. Takie przynajmniej zachowałem wrażenie w pamięci.

Te spacerunki ciechocińskie w latach 1979–1985 są moimi ostatnimi wspomnieniami z bezpośrednich spotkań z Leonidem Żytkowiczem. Potem już żadnych okazji do rozmów nie było. Gdy umarła moja żona (7 III 1987), Profesor przysłał list z przeprosinami, że stan zdrowia nie pozwala mu na obecność na jej pogrzebie...

Toruń, dnia 21 grudnia 1999 roku.